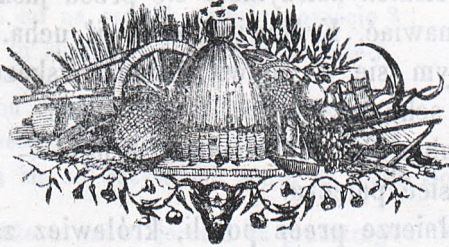




21. Października

1860.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pan Bóg najwyższa mądrość.

Młody jeden królewicz zwykł był mawiać: „Na co też Pan Bóg stworzył muchy i pająki? Stworzenia te żadnego pożytku nie przynoszą człowiekowi. Żebym miał na to sposób, wszystkiebym wygubił.

Zdarzało się, że sąsiedni król wpadł z dużym wojskiem, pobił żołnierzy co nad nimi królewicz przewodził, i jego samego zmusił do uciezki. Nieszczęśliwy królewicz tułając się po lasach, gdy bardzo był zmordowany, rzucił się pod drzewo i usnął. A owo jeden z żołnierzy nieprzyjacielskich, którzy go ścigali, odkrył go, a poznawszy w nim królewicza, dobył szabli, i zamierzył się, aby go zabić. Wtem mucha usiadła na twarzy królewicza i tak go mocno ukłuła, że się natychmiast zbudził, a postrzegłszy niebezpieczeństwo, dobył oręza i uderzył na żołnierza. Żołnierz uciekł, przestraszony niespodzianym napadem. —

Nie widząc się bezpiecznym w lesie, wynalazł królewicz ciemną jakinię z ciasnym otworem i w niej miał na noc spoczynek.

czynek. Tymczasem w nocy przyszedł pajak i wniósł do jaskini zasnuł swoją cieniutką siecią. Nad rankiem dwóch żołnierzy nieprzyjacielskich zatrzymało się przed jaskinią, i jeśli coś między sobą rozmawiać. Królówic nastawił ucha.

— Założyłbym się — mówił jeden, wskazując na jaskinię — że się tu schował.

— Nie podobna — odpowiedział drugi — bo wchodząc, byłby popsuł tę sieć pajęczą.

I obadwa żołnierze precz poszli, królówic zaś, padając na kolana i wznosząc ręce do nieba, zawołał: „Dzięki ci wszechmocny Boże! wczoraj zachowałeś mi życie za pomocą muchy, a dziś siecią pajęczą zasłoniłeś mię od nieprzyjaciół.“

Widzicie, moi ludzie, że Pan Bóg nie na próżno nie stworzył; wszystko co uczynił, służy ku dobru naszemu. Nie wyrzekajcie na Pana Boga, jeżeli wam się coś przykrego stanie; nie wyrzekajcież na jakie nieszczęście, ale się oglądajcie dobrze, a ujrzycie, że to własna wina wasza do różnych nieszczęść i wypadków was przyprowadza. I ukorcie się wtedy przed Bogiem, i starajcie się postępować według przykazań Jego, a zobaczycie, że wszystko stworzył On ku potrzebie i wygodzie człowieka.

Maluczkim jest człowiek i głupim, a często wyrzeka na Boga, który jest *najwyśszą Mądrością!* —

OJCOWSKA RADA.

Dobry mój znajomy Sebastjan Lesiczka z Jeżowej, przysłał mi tu śpiewkę co ją złożył do składu. Nie ma on tam wiele czasu do tego, bo mu wypadło jako też innym chodzić z pługiem w pole i ze sierpem i z kosą jak co kiedy trzeba; a wtedy przychodzą mu różne myśli do głowy. Skoro więc padnie Niedziela albo jakie święto i wolny jest od pracy, wtedy siędzie sobie za stołem, i śmiga piórkiem po papierze, i spisuje takie rzeczy, coby były innym na pożytek albo ku zabawie. Otóż i ja wam tu wydrukowałem jedną jego śpiewkę:

Ojciec już umierał, iść się ztąd zabierał,
A synowi smutek do serca zazierał.

— Cóż mi na ostatek tatusiu powiecie ?
Jak ja tu sierota będę żyć na świecie ?

— Synu, pilnuj swego i bądź pracowity,
Nikt jeszcze z *czyjego* nie pozostał syty ;
Zresztą się ze wszystkim spuść na Pana Boga.

A niechże ci utkwi jeszcze ta przestroga :
Skoro tylko wyjdiesz do twej pracy z domu,
Dopomóż ci Boże! nie powiedz nikomu,
Bo jak zechcesz wszystkim szczęścia w pracy życzyć,
To ci niedostatek będzie przewodniczyć. —

Zadumał się synal, nie wie co to znaczy,
Więc umierający jasno mu tłumaczy:

— Kiedy wyjdiesz, jak lud sieje, orze,
Trza-ć każdemu mówić: *dopomóż ci Boże!*
A jak pójdiesz rano gdy zaczną śpiew ptacy,
Wtedy tobie życzyć będą szczęścia w pracy.
Bo kto rano wstaje i zaczyna z Bogiem,
Temu niedostatek nie bywa za progiem.

Usłuchał syn dobrej ojcowskiej przestrogi,
Toż ma pełne stajnie i wypchane brogi. —

Sebastyan Lesiczka z Jeżowej.

Kara Boska.

Małe pół milki od Myślenie, we wsi Osieczanach, bywali z dawien dawna bardzo bogobojni państwo. Modlili się oni często do Pana Boga, a że z tamtąd kawałek do kościoła, więc mieli sobie w ogródku kapliczkę, co się w niej co dnia pomodlili; a skoro przyszedł piątek i sobota, to już świecili lampkę w onej kapliczce Panu Jezusowi na chwałę.

A był w tej kapliczce Pan Jezus pod trzecim upadkiem. Figura Syna Bożego była udatnie z drzewa wyrzezana, a na kamiennym postumencie. I nieraz tam zachodzili ludzie ze wsi do

owej kapliczki, pomodlić się w strapieniu lub jakiej boleści, bo tego państwo nie zabraniali.

Owóż opowiem wam, co się raz w tej kapliczce wydarzyło: Będzie temu już pięćdziesiąt lat z okładem, jak był we wsi żyd pachciarz, co mleko w dworze kupował. Żyd jak żyd bachorów miał co niemiara, a że sobie nie mógł dać z onemi rady, więc przyjął do nich nauczyciela żydowskiego, co go oni *belferem* zowią. Był to jeszcze młody żydziak ten belfer, a zuchwały i hultaj jakich mało. Więc się nie nie ostało przed nim; każdemu psotę wyrządził, we wsi i we dworze po sadach szkody robił, zgoła, nie można się było ustrzedz przed onym hultajem.

Otóż trafiło się raz, że przyszedł do wiejskich chłopaków, jak paśli bydło, i ozwał się do nich:

Słuchajcie pastuchy, choćmy do pańskiego sadu. *Ach waj*, tam są *fein* jabłka i gruszki.

— Jédz sobie sam żydzie, kiedy takie dobre — odezwia się chłopcy.

Ale żyd jak wziął ich namawiać i namawiać, tak się też i pastuchy złakomiły i poszły z belferem do sadu, zapominając na to, że Pan Bóg mówi w siódmym przykazaniu: *nie kradnij*.

Szczęściem nie było żywej duszy w sadzie, więc chłopcy uganiają, a trzęsą i obrywają, co się tylko wlezie. Aleć skoro przybiegli pod kapliczkę, co była w kącie sadu, tak się w nich jakoś sumienie ruszyło, i spostrzegli się, że to grzech robić szkodę w cudzym sadzie. Więc zdjęli czapki i stanęli milczący przed kapliczką, nie wiedząc sami, co dalej zrobić. I chcieli już uciekać z ogrodu, tak im się markotno zrobiło, aż tu przybiegł do nich belfer.

— Ny, a cóż wy tak stoicie? — ozwał się żydziak.

Chłopcy nie się na to nie odezwali.

— Aj, to przed tym kapliczką — zawołał belfer! — No, niechże i ja się waszemu Panu Jezusowi przypatrzę!

I weszedł żyd do kapliczki, i w kapeluszu na głowie zaczął się z kpinami figurze przypatrywać. U rącząt Pana Jezusa, spartych w upadku na kamieniu, wystawały długie paluszki; więc cóż temu niewiarze żydziakowi nie przychodzi do łba:

— Ny, niech ja waszemu Panu Jezusowi obetnę paznokcie — odezwał się heretyk, wyjął kozik z kieszeni, i dalej obcinał palce u figury.

Dzieciom wiejskim aż włosy na głowie stanęły na on widok; uciekły z wielkim strachem do domu, i nikomu nie o tem nie rzekły. Aleć sumienie robiło im straszne wyrzuty, , wylęknione pastuchy zarzekły się już na zawsze chodzić z tym hultajem żydem.

Belfer wrócił także swoją drogą do domu, i wydawało się już, że mu Pan Bóg przepuści tę srogą obrazę. Nadszedł wieczór i noc nadeszła, żydzi poszli spać, a belfer także z nimi.

Na drugi dzień z rana bachory żydowskie pobudziły się, szwargoczą między sobą, a belfer nie wstaje, tylko się przewraca i hałasuje, że jeszcze noc wielka, czemu oni powstali. Z razu myślały bachory, że on sobie kpi; ale skoro on ciągle przy swoim obstawał, że noc i noc, toć oni jęli mu dopiero mówić, że widno i dzień, a jemu się chyba w głowie przewróciło. Jakoż na prawdę świeciło słońko czysto i ogniście.

Dopieroż żydziak jak nie zacznie krzyczeć, co mu tylko sił starczyło, jak nie zacznie o mur bić głową, to mało że sobie jej nie rozbił. Bo, o cudzie niepojęty! Pan Jezus go skarał, i rzucił mu ślepotę na oczy przez jedną noc.

Taka osobliwa straszna historia roznieśli się wnet po całej wsi, także i do dworu, a wtedy dopiero one chłopaki, co były w sadzie z belferem, jęły opowiadać, co ten poganin zrobił figurze Pana Jezusa. Nie mogli się ludzie wydziwić sprawiedliwości Pana Boga, wychwalali Imię Jego, że tak ukarał zuchwalstwo żyda dla przykładu drugich. Żydzi zaś ledwo nie pamarli od strachu i żalu, bo belfer jak nie widział tak nie widział, i nie mu nie pomogły żadne leki.

I odtąd cała wieś miała w poszanowaniu oną kapliczkę z figurą Pana Jezusa upadającego pod krzyżem, i nieraz tam dostąpił nie jeden człowiek ulgi w swych strapieniach, jeżeli gorące modły zanosił do Pana Jezusa.

PRZYPADEK BARTKA.

U sołtysa Kality schodzili się ludzie na pogadankę w niedzielę wieczorami, i tam już każdy co wiedział to powiedział, a nie było to ani na obrazę Boską ani ludzką. Bo się też nie bawili żadnymi plotkami, jak to często świegotliwe baby lubią, ku szkodzie a obrazie drugich; ani też żadnych poswarków nie bywało, jak się to często zdarza w karczmie przy kieliszku. Sołtys nie mógł znieść ani plotek ani poswarków i był jak ogień na oboje; a skoro jeno kto kluczkę do tego dawał, to mu tak wyciął prawdę, że mu aż w pięty poszło. Więc się go bali ludzie we wsi, ale go i kochali, boć było z niego nad wyraz uczciwe chłopisko.

Więc bywało, na schadzkach u sołtysa opowiadają sobie same ciekawe i nieobrażające uszów rzeczy. I tak nie jeden się co nauczył z tych pogadank, czasem bywało spłakali się ludziska, a czasem jak się już jęli śmiać z czego, to aż się rozlegało.

Nie raz ja tam byłem na tych wieczornicach, a owóż dzisiaj powtórzę wam, co nam raz opowiadał Bartek, jako mu się samemu ze strachem wydarzyło:

— Nie pomnę, jak to było — zaczął mówić Bartek — dość, że szedłem sobie w poniedziałek bardzo rano z siekierą do boru i odmawiałem pacierze. A kiedym dochodził do ostatniego mostu, co heń pod lasem, a pod którym, jak mówią, ma być taka głębia, że nie jeden tam się już utopił, ciarki mnie przeszły po ciele i stanąłem pod mostem. Już to tyła nagadali ludzie o tym diabelskim moście w Olszynie, na którym szatan wyprawia co noc swoje figle i sprowadza wędrowników w przepaść, aby ich duszę zacapnąć do piekła, że i mnie jakoś obeszło. A nuż bestya mi się pokaże! myślę sobie. I stoję i oglądam się na wszystkie strony po zarosłach, i czekam, póki ktoś więcej nie nadejdzie. Ale gdzie tam! słońce jeszcze nie zeszło; nikt tam rano tędy nie przejeżdża, bo każdy się też i boi. Tak tedy nie wiem, co mam z sobą począć. Iść, czy nie iść? W tem przypomina mi się, że mam kij lipowy w rękę, a lipiny ma się djabeł lękać jak święconej wody. Przeżegnałem

się, zaśpiewałem: *Kto się w opiekę*, i wszedłem na most. Ledwie doszedł do połowy, a tu, Jezus Marja, jak nie grzmotnie, jakby most się zawalił. Nie pamiętam, jakem go przeleciał, bo w oczach mi się zaćmiło i nogi stężały. Na trakcie przedemną mignęło się tylko coś z ogromnemi rogami. To pewnie sam lucyfer. Stałem o kilkadziesiąt kroków i obejrzałem się, bom i siekiere zgubił i kapelusz mi z głowy zleciał. Nie chciałem się po nie wrócić, żeby czasem i samej głowy nie stracić. Więc stoję i czekam zmiłowania boskiego, aż kto nadejdzie. A serce mi tyka, a pot z czoła ciecze, jakby przy najcięższej pracy w żniwa.

Kiedy tak medytuję, co pocznę bez siekiery i kapelusza, zaszeleściało coś w krzakach, zląkłem się na nowo i już brałem nogi za pas. A w tem ukazał się na trakcie nasz gajowy Wojciech Dziecioł z fuzyą na ramieniu. Ochłonąłem. Zbliżył on się do mnie, ale jakoś z kwaśną miną i rzekł:

— A cóż to Bartłomieju, wyglądacie, jakbyście ze skóry wyleźli, albo jakby was kto postrzelił!

— A bo i prawda. Ledwie ze skóry nie wyskoczył. Jak to ludzie zawdy wygadają.

— Musieliście się chyba spotkać z biesem.

— Spotkać jak spotkać, śpiewałem pieśń nabożną, to i nie miał do mnie przystępu; ale ryknął ze złości tak straszliwie pod mostem, że jeszcze nie mogę przyjść do siebie. A jakem na pół żywy przelatywał most, przemknął się tylko ów bies przedemną i przepadł w krzakach na prawo. A jakie też to ma rogi! niby dwie gałęzie sterczały mu na łbie.

— Ha! ha! ha! śliczny mi bies, coby było na pół roku mięsiwa z niego, żeby nie proch, co mi zwilżał na panewce, i chybiłem.

— Coście chybili, Wojciechu?

— No, tego biesa, co wam tyle napędził strachu, żeście i kapelusz zgubili.

— Toście wy?...

— Tak, ja strzeliłem za jeleniem, alem go chybił, i potem widziałem, jak się wam przemknął żywy przed oczami i przepadł w krzakach.

— Bodaj was! a myślałem Bóg wie co.

— Strach ma duże oczy. Nie myście drugi raz i nie wiercie bajkom ludzkim. Boć ja tu przy tym moście nie jedną noc przeczatuję, a jeszcze biesa nie spotkał, chyba że mnie ludzie wzięli za owego opętańca z piekła. Tak się to dzieje na świecie, człowiek człowieka, albo zwierz człowieka nieraz przestraszy, i zaraz gadania, że coś pokutuje, że to i owo. Ale bądźcie zdrowi, bo muszę pójść za tym jeleniem, a może go udybię.

— Bóg wam zapłać Wojciechu za naukę. O będę się też śmiał z ludzi, a naprzód z siebie samego.

Uśmieliśmy się wszyscy z tej Bartkowej przygody, a on sam najwięcej, że był taki głupi; aleć teraz się już odmienił, a jak padnie, to i o północy przez most w Olszynie pójdzie, a jak pacierz mówi, to nie żeby od jakiego strachu albo djabła, ale żeby mu się nie cniło, i Pan Bóg łaskawy uchował od jakiego wypadku. Bo jak kto nieostrożny, to może guza nabić, albo i nogę złamać, a to gorsze od wszystkich strachów, co o nich ludzie pletą kosałki opałki.

(Km.)

Waszemu zdrowiu na pożytek.

Zapadają u was dzieci a i starsi często na słabość, którą nazywacie *gliniec* albo *gnilec* czyli *szkorbut*. Słabość ta pokazuje się najczęściej na miejscach niskich, koło jezior i błót, i w lata nieurodzajne. Trafia się ona zwykle między nowym rokiem a pełną wiosną, póki się nie pokaże świeża zielenina. W takim razie puchną słabemu dziąsła i krwawią się za lada dotknięciem; całe ciało nabrzęknie i ociężuje, a pod kolanami i u stóp pokazują się sine plamy. Niema wtedy słaby żadnego smaku do jadła, a jak się słabość zaniedba, to mu się dziąsła coraz bardziej ranią, a wreszcie i gnąć poczynają. Ztąd też nie trzeba chorego zaniedbywać, ale zaraz z początku wziąć się do leczenia. Radzę najprzód żeby słaby w zadusze dużo nie przesiadywał, ale żeby

był jak najwięcej w czystym, ciepłym i suchym powietrzu, żeby jadł świeże ogrodowiny jeżeli już są, a szczególnie szczaw, cebulę, rzodkiew i chrzan. Sine plamy pod kolanami i koło stóp nacierać trzeba octem nalany na chrzan, i niechże sobie także octem do połowy z wodą zmieszany gębę wypłukuje. Jeżeli zaś już starszy, a używa gorzałki, to może dwa razy na dzień wypić po kieliszku wódki moczonej z piołunem, tatarskiem zielem albo dzięgłem. Gdy zaś choroba już tak daleko zaszła że działa gnić poczynają, to nie ma co z tem żartować, ale nie odwlekać i zawieźć słabego do doktora.

Jak też u was komu noga albo ręka spuchnie, a do tego i zczerwienieje, oho, to już zaraz wszystkie baby we wsi krzyczą że to *róża*, i posyłają chorego do wiejskiej doktorki, żeby mu różę spaliła. Doktorka, jak zwykle głupia baba, zaraz mu tam pali, czerwonym suknem naciera, papierem z cukru owija, i Pan Bóg nie wie co jeszcze wyrabia; koniec końcem każe sobie dobrze zapłacić, choć niejednen po tych lekach dobrze na wieczne czasy okaleczeje, a czasem mu i dziura wypadnie aż do kości, żebyś w nią całą pięść wsadził. — Owóż nie wszystko jest *róża*, co wy *różą* nazywacie. Czasem się ciało zaogni, napuchnie i *zczerwienieje mocno*, a ze środka rwie jakby kto młotem walił; w takim razie ma się w tem miejscu jakiś wrzód zrobić, który to wrzód *czyrakiem*, *bolakiem*, *swiniakiem* albo *żydówką* nazywacie. Poznać to potem, że się to coraz bardziej podnosi i narywa. Wtedy trzeba w tem miejscu przykładać albo ciepłą kaszę z tłuczonego *Intanego siemienia*, albo ciasto zrobione z żytniej mąki z miodem. — Jeżeli zaś robi się na nodze, na ręce, czy gdzie indziej na ciele, czerwoność, ale *blada* i bokami żółtawa, i nie rwie pod nią jak przy wrzodzie, ale tylko świerzbi i pali: wtedy to jest prawdziwa *róża*. Czerwoność ta nie puchnie i nie rośnie tak do góry jak u wrzodu, zaś jak ją naciśniesz palcem, to się biała robi. Róża ustaje zwykle po siedmiu albo dziewięciu dniach, a potem łuszczy się skóra w tem miejscu. — Jeżeli kto róży dostanie, nie trzeba babrać żadnymi mokremi ani tłustymi rzeczami, bo może stwardnąć i rana się otworzy, a potem to już źle bardzo. Najprzód trzeba dać choremu na wymioty, a to wtedy, jeżeli ma język brzydki, biało obłożony, i

smaku nie ma do jadła. Proszki na wymioty miewają zwykle po dworach. Potem trzeba słabego poić odwarem z *bsu* albo *lipowego kwiatu*, żeby się pocił. A niechże przytem w łóżku leży i ciepło się trzyma bo zaziębienie najgorsze; z jadła mu także nie więcej nie dawać jak krupnik, lekki żur, przytem wodę i chleba niewiele. Zaś na różę nie trzeba nie przykładać tylko trochę utartej kredy na miękkim suknie, albo woreczek z grzaną i suszoną mąką. Broń Boże moczyć czemkolwiek różę, bo się może rozranić. — Powiecie wy na to: A kto by tam tyle zachodu robił wedle takiego głupstwa! — A ja wam wówię, moi ludzie, że lepiej jaki tydzień w łóżku przeleżeć, przebie-dować i roboty odbieżeć, jak potem rok albo i więcej z paskudną raną chodzić. Oj widział ja już nieraz: nogę spuchniętą jak kłodę, a ranę taką coby kacze jajo włożył, a wszystko z róży zamoczonej, albo co ją doktorka tak dobrze wyleczyła. Najwięcej zaś wypada strzedz się tego, z czego się róża robi. Powody do tej słabości są: przeziębienie, tłuste i ostre jadło, zmartwienie, gniew, złość i pijaństwo. A najprędzej gniew i pijaństwo. — Oj, to pijaństwo już niejednego o życie przypawiło. —

Wydarza się najczęściej pomiędzy dziećmi, że chorują na *robaki* czyli *glisty*. Poznać to potem, że dziecko takie ma brzuszek wielki, chociaż zato całe jest blade i słabienkie. Skrobie się zawsze rączką koło nosa, w nocy zgrzyta zębami i oczy do połowy otwiera, chce jeść dużo albo zgoła nie, a często cierpi nudności i ztąd jest niespokojne. Najlepiej jest leczyć dzieci na robaki przed nowiem, a więc w ostatniej kwadrze. Tym końcem trzeba dać dziecku na czezo ze dwie łyżeczki tartego *cytwarowego nasienia*; a dobrze jest zmieszać pierwej ten proszek z miodem, bo sam jest gorzki i dzieci go nie lubią. Tartego *cytwaru* czyli *gliśniku* dostanie w każdej aptece. Dostanie także po aptekach cukierków na glisty, a te są jeszcze lepsze niż cytwarowy proszek, bo słodkie, i dzieci to chętnie gryzą.

Uważajcież matki na to ażeby dzieci wasze robaków za młodu nie miewały. Jak się to tam raz przytrafi, a do tego i niewiele, toć i niewiele zaszkodzi; ale jeżeli częściej dzieci na robaki cierpią, to na koniec zbiednieją, zchyrleją, wybladną i wychudną, i potem ni do ludzi ni do Boga. A przecież matki,

każdaby z was chciała, żeby to dziecko jej było jak jabłuszko urodziwe; więc nie żałujcież czasem parę krajcarów i drogi do miasta, żeby kupić dziecku cytwaru albo cukierków na robaki.

Teraz pod zimę trafia się często między ludźmi *kaszel*. Kaszel może być różnoraki, ale u was to wszystko jedno, na każdy kaszel radzi baba pić psie sadło, albo borsukowe z mlekiem, a to nic nie warte, i niejednego w suchoty wpędzi, co byłby się mógł łatwo kaszlu w inny sposób pozbyć. Takie sadła z mlekiem co wy zawsze na kaszel pijacie, są stare, i tylko zapaskudzają żołądek a więcej nic.

Owoż kaszel może być najprzód przez zaziębienie, wtedy to razem boli głowa, ciężkość spada na piersi, a czasem i w uszach strzyka. Przychodzi to ztąd, jeżeli kto nieostrożny wybiegnie nagle zgrzany na zimny wiat, jak się to często zdarza po karczkuach, kiedy jest ochota i pije się przytem. Na taki kaszel najlepiej jest położyć się do łóżka, ciepło się nakryć i nic nie jeść prócz kleiku z jęczmiennej kaszy. Niechże przytem zaparzy kto choremu bżowego albo lipowego kwiatu, aby się napił tego odwaru z kwartę, albo i więcej na gorąco, a potem niech się dobrze kożuchem i z głową nakryje. Jak się słaby tego wypoci, to cały kaszel gdyby ręką odjął. Trzeba zaś uważać, aby chory nie odkrył się nagle w tych potach, albo żeby bosomei nogami po izbie nie chodził. Lepiej więc jest położyć się odrazu na dwa albo i trzy dni do łóżka, niż kaszel zaniedbać, żeby potem z pół roku męczył, i posunął człowieka o kilka lat naprzód do grobu.

U dzieci, a czasem i u starszych, trafia się często kaszel, który zowią *koklusz*. Ten kaszel zdarza się jeno raz w życiu człowieka, a po tem go łatwo poznać, że tylko kilka razy na dzień porywa, ale wtedy człowieka o mało że nie zadusi. Dzieci ezerwienieją, sinieją i zachodzą się przy tym kaszlu. Trwa on całe sześć niedziel, a czasem i dłużej; i nie ma na niego rady, bo musi swoje wybyć. Więc też i lekarstwa nie ma na to żadnego, jak tylko żeby słaby zawsze się ciepło trzymał, a ochłodu i wilgoci się wystrzegał. Jeżeli dziecko dostanie koklusza, to go zaraz trzeba od innych dzieci odłączyć, bo to jest zaraźliwa choroba. Nie jest on zaś taki niebezpieczny ten kaszel,

jak tylko to, że okrutnie męczy. Przytem strzedz się trzeba gniewu, mocnego krzyku, albo przelęknienia, bo to kaszel powiększa.

Wydarza się u dzieci jeszcze jeden kaszel, a ten jest bardzo niebezpieczny. Chwyta on niespodzianie, i dusi coraz bardziej. Dziecko wtedy pieje, jak to ludzie mówią, tj. że się tak zanosi od kaszlu. Z tym więc kaszlem nie ma co żartować bo może i w jednym dniu udusić. Trzeba więc jechać duchem po doktora, a ten już będzie wiedział co na to poradzić.

O Ziemiakach.

III. Jakie mają być do sadzenia.

Ziemiaki do sadzenia najlepiej jest brać ze ziemi lekkiej i sucho położonej. Są one najzdrowsze i najbardziej mączaste, a dają obfity plon i na mocniejszej roli. Powinny być przytem zdrowe, nie nadpsute i nie chrościate. — Jako wam już pierwej rzekłem, najzdrowsze ziemniaki są te, co ani bardzo wielkie, ani małe, lecz średnie; takie więc radzę też wybrać do sadzenia. Na wiosnę przed sadzeniem trzeba takie ziemniaczki dobrze wysuszyć na powietrzu, nie zaś na słońcu, bo to im szkodzi.

Jak padnie na zdrowy rok, to ziemniaczki na każdym gruncie dobrze się udają; aleć skoro jest zaraza na ziemniaki, to trzeba i z gruntem przebierać. Na ziemi lekkiej, przenikliwej a wysoko położonej, rodzą się ziemniaki zdrowe, mączyste i trwałe do przechowania. Jeżeli więc kto ma taką rolę, to niech na niej sadzi. Kruche ziemie także są dobre, skoro tylko dosyć gnojne i przenikliwe. Ale rola gliniasta i tłusta, nieprzenikliwa a nisko położona, najgorszą jest pod ziemniaki. Lepiej na takiej ziemi sadzić buraki, rzepę, brukiew albo marchew.

Najlepiej jest sadzić ziemniaki w polu jarzynnem, bo mierzwa świeża nawozi się pod ozimę, a więc ziemniaki przychodzą w drugoletniej mierzwie. Nie radzę sadzić ziemniaki na świeżej mierzwie; wydają one większy plon, ale też i prędzej ulegają chorobie. Choćbyś zaś i mierzwił trochę, to najlepiej na polu

jarzynnem, bo po ziemniakach dobrze jest siać groch, wykę, lub mieszaniny na zielone, a potem dopiero oziminę. Niedobrze zaś jest sadzić ziemniaki w ugorze, bo oziminy po nich mało ziarna wydają. Wam się to często trafia że siejecie oziminy po ziemniakach, więc też bardzo na tem traciecie; bo tylko słomisko wielkie urosnie, a ziarna skąpo.

Już pod zimę trzeba rozpoczynać uprawę roli pod ziemniaki, a im więcej rola zrosła, gliniasta i silna, tem bardziej trzeba rąk przyłożyć do niej. Pod zimę powinno być już wszystko poorane i głębiej odwrócone. Rola lżejsza i pulchna musi być zbronowana; roli spoistej i gliniastej lepiej nie bronować. Każdą zaś uprawę pod ziemniaki trzeba na zimę opatrzyć przegonowemi bruzdami, żeby woda na zimę prędziej ściekała, a tak i rola duchem oschnie. Najwięcej na to uważać żeby orka pod ziemniaki była jak się tylko da głęboka. —

Czem rychlej sadi się ziemniaki tem lepiej. Trzeba uważać jak tylko ziemia z wilgoci osiąknie i wygrzeje się trochę, a już możesz gospodarzu rozpocząć sadzenie. Więc rychłe ziemniaki z początkiem kwietnia, a późniejsze w połowie. W dwojaki sposób sadzą u nas ziemniaki: albo w *zagony* albo w *rzędy* czyli *radlonki*. — Sadzenie w zagony jest nie nie warte, bo się wydobywa dużo surowej ziemi na wierzech. Tylko w mokrych nizinach dobrze jest sadzić w zagony; aleć w takim miejscu trudno żeby ci się ziemniaki udały. Sadzą też ziemniaki pod pług; a to w taki sposób, że się zawsze jedną bruzdę opuszcza, a w drugą dopiero sadi, zaś tę nakrywa się wyoraną skibą. Dobry to jest sposób, ale na roli lekkiej i przenikliwej; gdzie zaś miejsce mokre i trudno wodę odprowadzić, tam się na nie nie zda. W ziemi niskiej, gliniastej albo iłowatej, tak sobie trzeba poczynać: — Wyorują się radliny na pół albo trzy ćwierci łokcia od siebie oddalone, i dopiero w rozory między radlinami sadi się ziemniaki na trzy lub cztery pięście jeden od drugiego. Nie trzeba sobie przytem niedbale poczynać, i nie porzucać ziemniakami bez porządku, ale się nachylić i każdy osobno położyć, a trochę go wgnieść do ziemi. Najlepiej się z tem obchodzić umieją kobiety. Skoro już zasadzone, rozpędza się radłem grzebienie radlin, i robi się nad zasadzonym rzędem nowe radliny. Jeżeli jest ziemia gliniasta,

to trzeba, żeby radliny były głębokie. Później zaś, kiedy gospodarz miarkuje, że ziemniaki wypuściły już kielki pod ziemią, przynajmniej tak do połowy jak grzbiet radliny wysoki, wtedy powinien zbronować całe pole lekkimi bronami. Kiedy już zaś łodygi na trzy albo cztery palce nad ziemią wyrosną, wtenczas trzeba radliny wyradlić, ale broń Boże jedna po drugiej, bo się przez to roślina osłabia i szkodzić jej może. Dla tego trzeba wyradlić jedne radlinę, drugą przeskoczyć, aż znowu trzecią wyradlić; potem znowu czwartą opuścić a piątą wyradlić, i tak ze wszystkimi. Dopiero po jakim tygodniu resztę wyradlić trzeba, a za radłem powinna chodzić kobieta i motyką poprawiać gdzie wypadnie. Takim sposobem obradła się ziemniaki jeszcze raz, a i drugi, jeżeli tego potrzeba. Uważajcież na to wszystko jakem wam tu powiedział, a Pan Bóg da, że się nam ziemniaki na bezrok już nie będą psuły. —

RADY GOSPODARSKIE.

Jak przechowywać zboże w ziarnie, aby się nie zepsuło.

Kiedy się zboże do szpichlerza zesypuje, powinno być suche i przewiewne, a sypanie powinno być tak zaopatrzone, iżby zboże w niczem nie cierpiało.

Więc najprzód, nie powinno być nad stajniami i chlewami, bo te wyziewy zwierząt i smród szkodzą bardzo zbożu.

Ani śnieg ani deszcz nie powinien zaciekać dziurami; tym końcem trzeba wszystkie rysy i szpary w ścianach, w pułapie i podłodze pozabijać i zasmarować.

Sypanie powinno być tak urządzone, żeby, jak trzeba, można i powietrze i światło do niego wpuszczać. Okienka do przewiewania powietrza powinny być naprzeciw siebie, a tak wysoko nad podłogą, jak wysoko zboże we środku jest nasypane. Trzeba także na te okienka kratkę z drutu przybić, żeby niemi ptaki nie wlatywały i zboża nie psuły. Przy okienkach powinny być także okiennice do zamykania.

Na szczury i myszy trzeba zastawiać łapki, bo to wielkie szkodniki w zbożu.

Jeżeli zboże świeże i wilgotne, albo ziarna takie co mają olej w sobie, jak rzepak, lniane siemie i t. d., powinien gospodarz cienko rozpościerać.

Kupy trzeba porządnie i regularnie usypywać, i naznaczać, wiele jest w której zboża. Kupy te powinny być także deskami przegrodzone.

Zboże należy od czasu do czasu przerabiać; a to dla tego, żeby nie zatęchło, lub czy też nie ma jakiego gniazda myszów pod spodem.

Sypanie powinno być pod kluczem, a klucz powinien wisieć na pewnym i jednym miejscu, albo też gospodarz powinien mieć go przy sobie: bo tylko *pańskie oko konia tuczy*, a *kto nie dołoży okiem, to dołoży workiem*. Równie w ładzie powinny być strychulec, miara i inne porządki.

Gdyby ci się wołki do zboża zakradły, natenczas wywoź gospodarzu i uprzątaj zboże, a na tem miejscu nie syp już ziarna przez cały rok, bo by ci go zjadło.

Ubędzie zawsze trochę zboża na składzie, a to przez zeschnięcie, jako też i przez przerabianie. Nie dużo jednak ten ubytek wynosi: jeżeli trzy albo cztery korce na sto przy świeżem zbożu, to już wiele; zaś na sto korec starego zboża nie powinno ubyć więcej nad półtora.

Rzeczą gospodarza w ogóle, jest wszędzie porządek i dozór. Jak kto dobytek swój w porządku trzyma i dogląda swego, to zawsze musi też i wyjść na swoje. Kto zaś sam leniwy, a pozwoli do szpichlerza lada komu łązić, czy to parobkowi, czy to dziewce, to przecie trafi raz na nieuczciwego, co go okradnie i szkodę mu wyrządzi.

R Ó Ź N O Ś C I.

Jakich ludzi najwięcej na świecie? Za a ten się zwał *Stańczyk*. Bardzo on króla polskiego Zygmunta Starego żył był dowcipny, a choćby i samemu królowi, to zawsze prawdę powiedział;

nie tak jako inny podchlebca, co w oczy się łasi, a po za oczy niestworzone rzeczy gada. Raz pyta się go król:

— Powiedz no mi mój Stańczyku jakich to ludzi najwięcej na świecie?

— Doktorów! miłościwy Panie — odrzekł Stańczyk i ani się zająknął.

Zdziwił się król na to powiedzenie Stańczykowe, jako że w onym czasie bardzo trudno było ustrzedz jakiego lekarza, nie dopiero żeby ich można na kopy rachować.

Więc ozwał się na to król do niego:

— Ależ od rzeczy mówisz mój Stańczyku, a z kądżeby zaś doktorów było najwięcej na świecie?

— Ha, to ja cię przekonam, miłościwy królu — rzecze Stańczyk.

Jakoż na drugi dzień zabrał ze sobą jednego człowieka, co był u królewskiego boku, za świadka, a sam podwiązał sobie brodę białą chustką i tak wyszli na miasto. Znali Stańczyka wszyscy ludzie, a o mało, że nie każda przekupka. Skoro się więc pokazał z owiazaną twarzą na rynku, tak ci zaraz przybiega jeden do niego:

— A cóż to wam Stańczyku? — pyta ciekawie.

— Zęby mnie bołą — odrzekł Stańczyk i skrzywił się, jakby mu kto octu do gęby nalał.

— O, to źle, a weźcież sobie kamfory i przyłóżcie na ząb, to duchem przestanie boleć.

Skoro uszli kilka kroków, zdybała ich znowu jakaś kobieta a znajoma Stańczyka, i znowu go się pyta, co by mu było.

— Oj, strasznie mnie zęby bołą zawołał Stańczyk — i tak oczami zawrócił, że mu aż białka było widać.

— A weźcież sobie rnmianku i bzożowego kwiatu, przyłóżcie na gębę, a przestanie.

I tak zaczęm obeszli rynek do koła, tak im każdy człowiek radził na ból zębów, a każdy co innego.

Jak tylko wrócili się do zamku, pyta król już z daleka:

— No, a cóż, znaleźliście dużo doktorów?

— Całe miasto — ozwał się ów dworzanin, co ze Stańczykiem chodził.

Skoro zaś król spojrział na Stańczyka i zobaczył go z podwiązaną brodą, tak się zaraz domyślał wszystkiego i uśmieł się serdecznie. Boć i prawda, najwięcej jest doktorów i doktorek na świecie; lada baba, co się nic a nic na tem nie zna, będzie ci zaraz radzić na różne słabości, i plecie ni w pięć ni w dziewięć, aby tylko pletła. A swoją radą toby ci prędzej duszę z ciała wypędziła, niż byś się oglądnał.

Dawne przysłowia i przypowieści.

Poznać z mowy, jakiej kto głowy.

Nie pomoże krukowi mydło, ani umarłemu kadzidło.